

## 30 LAT W KNIEJI

Gdy mija jakiś jubileusz zawsze nachodzi człowieka refleksja i to niezależnie, czy jest to jubileusz pracy zawodowej, pożycia małżeńskiego czy jakiegoś znaczącego w życiu wydarzenia. Przychodzi nagle, niespostrzeżenie i najczęściej zaskakuje wymiarem.

Tak było także z moim jubileuszem myśliwskim, gdy kiedyś zupełnie przypadkowo wertując legitymację PZŁ mój wzrok przykuła data 2 września 1974 r. Uświadomiłem sobie, że poluję już od ponad 30 lat, choć oczywiście jak każdy z myśliwych, swoją przygodę z łowiectwem rozpocząłem znacznie wcześniej.

Odnoszę wrażenie, że większość z nas, w takim momencie jest zaskoczona szybkością życia i tempem przemijania. Zaskakuje nas błyskawicznie mijający czas.

Każdy jubileusz prowokuje do ocen i podsumowań, uświadamia ogromne, zachodzące wokół nas zmiany. Nasze wspomnienia dotyczą także naszych najbliższych i przyjaciół. Myśliwi swój wachlarz jubileuszowych wspomnień mają dodatkowo rozbudowany i wzbogacony o wszystko to, co związane jest z ich życiową pasją. Niezapominanie przygody myśliwskiej, tereny łowieckie i ich zmiany zachodzące w minionym czasie, koledzy i przyjaciele po flincie – także Ci, którzy odeszli już do Krainy Wiecznych Łowów, nasi współtowarzysze polowań ukochane pieski, trofea, biesiady itd.

Moje trzydzieści lat myślistwa nie szczędziło mi niczego.

Dlatego postanowiłem, że choć częścią moich przygód i wspomnień, z pięknych polskich kniei podzielę się z Kolegami.

Jak zapewne większość z nas, łowiectwem ktoś musiał mnie zarazić. Oczywiście tradycje rodzinne to ważne – ojciec mój także był myśliwym i nawet odznaczonym „Złotem” – ale tak naprawdę tym szamanem i czarownikiem, który roztaczał wokół siebie mit myślistwa, do którego bezwiednie zostałem wciągnięty był Jerzy Cichocki, przyjaciel domu, fantastyczny myśliwy i super strzelec. Absolwent Wydziału Leśnictwa Akademii Rolniczej w Poznaniu, wówczas inspektor ds. łowiectwa w OZLP w Opolu. Pamiętam jak przychodził do nas do domu, siadał w fotelu i zanim nasza mama zrobiła coś do picia, razem z moim bratem siadaliśmy przed nim w kucki na dywanie i czekaliśmy. Czekaliśmy, bo wiedzieliśmy, że zaraz rozpocznie się kolejne niesamowite w swojej ekspresji opowiadanie, opowiadanie jakiego nawet nie mogliśmy sobie wyobrazić. I aby nie uronić ani słowa nie odstępowaliśmy Pana Jerzego ani na krok.

Słuchaliśmy z otwartymi ustami jak to stojąc na grobli strzelał do pędzących ta groblą dzików i po strzeleniu ośmiu (zabrakło już amunicji) pozostałe musiał rękami i kopniakami wrzucać do stawu, bo przewróciłyby go, o tym jak rozpoznać patafiany, czyli skrzyżowanie kuropatw i bażantów i jak z nogą w gipsie zjechał ze stogu na łące, pomiędzy walczące z sobą w czasie huczki dwa potężne odyńce. Muszę przyznać, że robiło to na nas piorunujące wrażenie i te wieczory, kiedy przychodził do nas Pan Jerzy były potem bezsenne.

Wiele opowiadań pamiętam ze szczegółami do dziś, choć minęło od tego czasu czterdzieści lat.

Zacznął zawsze tak:

- „Chłopcy, w zupełności było to tak...” – i za moment byliśmy już w świecie kolejnej przygody.

Oczywiście nie mogliśmy poprzestać na teorii. Coraz częściej wyjeżdżaliśmy z naszym Ojcem za zasiadki (brat siedział z Ojcem na ambonie i miał do dyspozycji lornetkę), a ja na najwyższych stopniach drabiny i nasłuchiwałem czy coś nie idzie z głębi lasu. W tym czasie wyostrzyliśmy sobie bardzo dobrze wzrok i słuch – zmysły niezwykle przydatne w myślistwie.

Potem nastąpił drugi etap edukacji – udział w polowaniach zbiorowych jako naganiacz. Muszę przyznać, że zawsze w miotach widziałem o wiele więcej zwierzyny niż myśliwi. No i oczywiście pierwsze samodzielnie zarobione pieniądze.

Edukację myśliwską pozytywnie pierwszy przeszedł mój brat – mimo, że młodszy ode mnie i gdy rozpoczął studia na Wydziale Ochrony Środowiska w ART w Olsztynie był już myśliwym. W tym czasie w sposób nadzwyczaj oddany służyłem mu jako „osobisty naganiacz” próbując nakierować uchodzącą z miotu zwierzynę na jego stanowisko. Czasami się to udawało.

Ja stałem się myśliwym nieco później, po skończeniu studiów i zakończeniu wyczynowego uprawiania sportu. Do PZŁ wstąpiłem po zdaniu egzaminów w ZW PZŁ w Opolu, 2 września 1974 roku. Kołem, w którym rozpocząłem swoją przygodę z Łowiectwem, było Wojskowe Koło Łowieckie nr 13 „Bażant” w Opolu, do którego dostałem się dzięki mojemu przyjacielowi Henrykowi Wójcikowi – wówczas obaj pracowaliśmy jako asystenci w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Opolu. Koło to dysponowało dwoma obwodami. Jednym leśno – polnym w okolicach Dobrej i Krapkowic (nr 79) i typowo polnym w okolicach Jarnołtowa i Burgrabic k/Głuchołaz (obw. 139). W tym czasie prezesem był kol. Zygmunt Rajkowski, a łowczym kol. Tadeusz Krawczyk. W kole tym byłem tylko trzy lata.

Najbardziej z tego okresu w pamięci utkwiły mi nocne dyżury – od 19<sup>00</sup> do 6<sup>00</sup> jakie pełniliśmy w maju i czerwcu przy prymitywnym inkubatorze w naszej wylęgarni bażantów w Dobrej. Obowiązkiem było pilnowanie temperatury i obracanie co godzinę ram z inkubowanymi jajami. Za niedopilnowanie jaj groziła kara pieniężna w wysokości odpowiadającej wartości wylęgu!

Najprzyjemniej polowało mi się w tym czasie z Heniem na deptane koguty – bażanty i kuropatwy. Wyniki mieliśmy niezłe, Heniu zawsze nieco lepsze, bo pomagał nam jego bardzo dobrze ułożony misterlender Cheri von Wider Apffelstad.

W 1977 roku zmieniłem, jak to mówią, barwy klubowe i przenieśliśmy się do KŁ nr 10 „Szarak” w Opolu, w którym wcześniej członkiem był mój Ojciec. W tymże roku uzyskałem uprawnienia selekcyjerskie. Egzamin pamiętam bardzo dobrze, także pytania na które odpowiadałem. Szczególnie jedno, po którym spocily mi się dłonie i zacisnęło mi krtań:

- To powiedz mi syneczku, ile jaj w drugim zniesieniu składa kuropatwa jak pierwszy lęg zostanie zniszczony?

Oczywiście, że nie wiedziałem i zacząłem kluczyć.

- Na pewno mniej niż w pierwszym – odpowiedziałem dość niepewnie.

- No dobrze, a to ile znosi w pierwszym zniesieniu? – ciągnął temat egzaminator.

Tego niestety nie wiedziałem. Czuję, że robi mi się gorąco i jest to koniec mojego egzaminu.

Na szczęście do rozmowy włączył się drugi członek komisji i tak zręcznie zaczął mnie naprowadzać, że w końcu jakoś wybrnąłem z opresji.

W kole tym polowałem nieprzerwanie przez piętnaście lat, aż do roku 1991.

Byłem wówczas młodym człowiekiem, pełnym ambicji i energii, a to co robiłem chciałem robić jak najlepiej.

W łowisku przebywałem bardzo często, poznawałem kolejne rewiry, ostępy, wagi i trasy wędrówek zwierzyny. Byłem w tym niezmordowany i w krótkim czasie doskonale i szczegółach poznałem nasze obwody nr 39 i 40 nadleśnictwa Krasiejów. Czasami w rozmowach z leśniczymi odnosiłem wrażenie, że wiem więcej niż oni, oczywiście w sprawach zwierzyny. Oba obwody, choć silnie zurbanizowane i przylegające bezpośrednio do granic miasta Opola, a więc podlegające silnej presji turystycznej, nie były złe. Mieliśmy w łowiskach i zwierzynę grubą i zwierzynę drobną. Stany zwierzyny nie były może nadzwyczajne, ale były zupełnie przyzwoite. Wiosną polowałem przede wszystkim na kaczory, słonki i piżmaki. Właśnie polowania na piżmaki w rzeczkach i rowach melioracyjnych wpadających do Odry i Małej Panwi dawały mi najwięcej satysfakcji.

Latem szukałem ciekawych rogaczy i walczyłem w owsach z dzikami. Jesienią zaś rykowisko a potem znowu dziki i lisy. Zimą, to przede wszystkim zbiorówki. Z każdym sezonem miałem więcej doświadczenia, zdobywałem niezbędną w łowach cierpliwość i pokorę wobec lasu,

zwierzyny i własnych umiejętności. Zdobywałem coraz więcej i ciekawszych trofeów. Poznawałem nowych kolegów, których wielu, z czasem stało się moimi przyjaciółmi. Miałem szczęście, że dzięki wspianiałym: prezesowi i łowczemu w KŁ nr 10 „Szarak” w Opolu panowała wzorowa atmosfera, co w sposób oczywisty przekładało się na przyjemność łowów. Warto aby w tym miejscu przypomnieć nazwiska prezesów: Mieczysława Rostka i Jana Kuboka – później członka Naczelnej Rady Łowieckiej PZŁ i przewodniczącego rady nadzorczej spółdzielni „Jedność Łowiecka” oraz łowczych, kolegów: Pawła Johna – leśniczego z Falmierowic i Józefa Praskiego syna leśniczego z Zawady.

Moja aktywność łowiecka z czasem wzbogacona została także o działalność organizacyjną. W moim macierzystym kole przez 10 lat pełniłem funkcję przewodniczącego komisji rewizyjnej oraz równoległe przez jedną kadencję przewodniczącego komisji propagandy ZW PZŁ w Opolu. Aktywnie uczestniczyłem także w organizacji i przeprowadzeniu w 1991 roku na strzelnicy w Opolu – Grudziecach XXIV Krajowych Mistrzostw w Strzelaninach Myśliwskich.

Na Opolszczyźnie miałem też okazję polować okazjonalnie w obwodach wydzielonych, zarządzanych przez OZLP w Katowicach w nadleśnictwach Kluczbork – obwody nr 25 i 26, Olesno – obw. 27 i Kup – obw. 31. i 32. W latach osiemdziesiątych miałem szczęście i możliwości polowania na Mazurach, w szczególności na terenie dwóch nadleśnictw – Szczytno i Kudypy, ale także w nadleśnictwach Miłomłyn i Wipsowo. Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych knieje mazurskie były jeszcze pełne zwierz a krajobrazy tej części Polski i dzika sceneria łowów powodowały, że każdą wolną chwilę spędzałem w krainie tysiąca jezior. Moim przewodnikiem po łowiskach mazurskich był nieodżałowanej pamięci, wówczas łowczy rejonowy w Szczytnie, kolega Stefan Haczkiwicz. To dzięki niemu poznałem wielu kolegów w kołach łowieckich „Ponowa” w Biskupcu, „Ryś” w Dźwierzutach, „Świt” w Pasymiu oraz „Jeleń” w Szczytnie. Dzięki uprzejmości i koleżeńskości myśliwskiej miałem okazję i możliwość poznania wielu wspianiałych łowisk i zaznać wielu niezapomnianych przygód łowieckich, z których część opisałem w swojej książce, „Nie tylko czarny zwierz” wydanej w 1993 roku przez wydawnictwo „Łowiec Polski”. Tutaj w obwodzie dzierzawionym przez KŁ „Świt” w Pasymiu pozyskałem swojego najlepszego byka, któremu do srebrnego medalu zabrakło 0,75 pkt CIC. Tu przeżywałem niezwykle emocje polowań na dziki w mroźne i śnieżne grudniowe i styczniowe pełnie w leśnictwie „Bobry” nadl. Kudypy u mojego kolegi i przyjaciela – leśniczego Krzysztofa Łakomego. Za to wszystko Mazurom i ich myśliwym jestem dożygonnie wdzięczny.

Ostatnią dekadę swojego myśliwskiego trzydziestolecia spędziłem w Wielkopolsce. Krainie o niezwykle poukładanym rolnictwie i leśnictwie, niezbyt zasobnej w lasy, jednak dzięki bardzo dobrej gospodarce łowieckiej umożliwiającej tak jak na Opolszczyźnie i Mazurach realizację moich myśliwskich pasji. Miałem szczęście i po dwóch latach starań dostałem się do Wojskowego Koła Łowieckiego nr 86 „Sokół” w Poznaniu. Koło o ogromnych, ponad 50 –

letnich tradycjach prowadzi doskonałą gospodarkę łowiecką, co bez wątpienia jest zasługą tak poprzednich jak i obecnych władz Koła. Regularnie od wielu już sezonów myśliwi pozyskują ponad 300 dzików i 100 jeleni. Bez wątpienia mam szczęście, że swoją łowiecką przygodą mogę kontynuować w takim kole.

Jestem przekonany, że to nie koniec i przede mną jeszcze wiele niezapomnianych przygód myśliwskich. Jak to przy jubileuszu, nie może obyć się bez pewnych podsumowań. Dlatego też do tego rozdziału pozwoliłem sobie dodać zestawienia pozyskanej przeze mnie zwierzyny przez 30 lat łowów. Wykonanie zestawień było stosunkowo proste ponieważ od swojego pierwszego polowania prowadzę kronikę, w której zapisuję szczegóły wszystkich swoich polowań wzbogacone o zdjęcia i mapki terenów. Jest tego już 5 tomów.

Zachęcam wszystkich myśliwych do naśladowania, bo pamięć ludzka jest zawodna.

□ □ □ □ □ **Buźiński Bogusław**

□ □ □ □ □ □ □



